

# KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół Konina

maj 2006 r.

Nr 5 (38)



## 1. Z KART PRZESZŁOŚCI

– ciekawostki z dawnej prasy konińskiej

## 2. ZE WSPOMNIENI

– przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień

## 3. Z DZIEJÓW KONINA

– artykuły o treściach historycznych, archiwalia

## 4. TWORZYLI WIZERUNEK MIASTA

– sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta

## 5. NASZYM ZDANIEM

– wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta

## 6. INSPIRACJE KULTURALNE

– poezja, proza, rysunek konińskich twórców

## 7. Z ŻYCIA TPK

– zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań

## 8. BARWY CODZIENNOŚCI

– podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście

## 9. ODPOWIEDZI REDAKCJI



## Tego maja witam Czytelników rozbuchanym wiśniowym kwieciem

Olczak swoim poetyckim „czasem kwitnących wiśni”. Drodzy Państwo, czuję się trochę zażenowany Waszymi serdecznymi życzeniami i gratulacjami, jakimi mnie obdarzyliście po otrzymaniu „Benedykta”. Jestem naprawdę wzruszony oraz przyrzekam uroczyste pilnować, aby nie przewróciło mi się w głowie. Zresztą zadbał o to Janek Sznajder swoim „wymagowanym” wywiadem ze mną. Gwoli prawdy historycznej muszę dodać, że zostałem przez niego sterroryzowany na wypadek nieumieszczenia felietonu w „Koninianach”. (Muszę zdradzić pewną tajemnicę, otóż J.Sz. był TW mojego Anioła Stróża i ma na mnie tzw. „haki”) Trudno, niech się

dzieje wola... Teraz zapraszam, myślę, już do w miarę normalnej lektury naszych redaktorów.

I tak – chyba jako antidotum na polskie polityczne rozterki – Janusz Gulczyński opisuje czasy naszych dawnych parlamentarzystów. Pewno było godniej, ale ponieważ nasze piśmiennictwo jest z natury apolityczne, Czytelnicy sami muszą uporać się z konkluzją wynikającą z felietonu Janusza. Myślę, że nie będzie to zbyt trudne. Zaś Pawłowi Rybczyńskiemu z tajemnic naszego Ratusza pomalutką wychodzi powieść kryminalna. Co to się wtedy działo, radzę przeczytać. Z okazji imienin Zofii, Włodek Kowalczykiewicz (młodszy), dzieli się z Czytelnikami jeszcze jedną wyszperaną przez niego ciekawostką o Z. Urbanowskiej. Warto uzupełnić swoją wiedzę w tej materii. Marysia Cieślak śle ukłony bibliotekarkom, pisząc z rozrzewaniem o ich pracy będącej bar-

dziej powołaniem niż zawodem. Pamiętajmy więc o majowym święcie bibliotekarzy, nasz prezent dla nich to po prostu więcej czytać. Mirka Dimitrow występuje tym razem jako poważna Komisarz Wystawy plastycznej związanej przede wszystkim z naszym miastem. To już impreza w ramach obchodów Dni Konina. Chciałbym przypomnieć, że Towarzystwo Przyjaciół Konina zapoczątkowało te obchody konwersatorium dotyczącym rewitalizacji Starówki. Poza spotkaniem można było obejrzeć wystawę dorobku literackiego rodzimych twórców. Udział wzięli: A. Dragan (wraz z dorobkiem artystycznym syna), F. Frankiewicz, E. Grętkiewicz, D. Grzechowiak, J. Gulczyński, T. Jankowski, Z. Kowalczykiewicz, D. Olczak, S. Rusin, P. Rybczyński, R. Sobczak, L. Stefaniak, J. Sznajder oraz Weneda. Tej wylizanki dokonałem świadomie, aby pokazać Czytelnikom, że „dorobek” miasta w

tej materii jest zupełnie satysfakcjonujący. Przy okazji (ponieważ pełna informacja ukaże się nieco później) składamy Wenedzie serdeczne życzenia z okazji okrągłej rocznicy urodzin. Janeczko sto lat i jeszcze trochę – pamiętaj, że wierni czytelnicy czekają...). Pan Stanisław Andrzejewski kończy (miejmy nadzieję, że na razie) swoje powojenne wspominki o mieście. Dziękujemy, to była poręczająca historia. Mamy w zanadru jeszcze inne, nie mniej ciekawe opowieści. Cieszymy się, że Państwo tak chętnie włączacie się w redagowanie „Koninianów”. To pismo stało się autentycznie nasze !!!

**Z tego właśnie powodu z westchnieniem dużej ulgi pozdrawia Stanisław Sroczyński**

PS Z gratulacjami zdążył, tuż po powrocie z dalekich Chin (sic!) mecenas Włodzimierz Łasiński – ta pamięć wzruszyła mnie niezwykle z uwagi na wieloletnią znajomość oraz Jego szczególnie sentymentalny do Konina.



## Z naczelnym „Koninianów” Stanisławem Sroczyńskim krótki wywiad imaginowany

Siedzę przed domem na ganku. Grzeję w słońcu stare kości. Śpiewają ptaki. Przede mną rozpostarty „Przegląd Koniński”. Ze szpalty spogląda na mnie z fotografii laureat tegorocznej nagrody „Benedykta”, Stanisław Sroczyński. Czytam laurkę ku czci i nagle nasza o chęć pogadania z beneficjentem. Sam będę zadawał pytania i sam będę na nie odpowiadał.

Ja – Drogi Staszku, ukochany Naczelnym naszych „Koninianów”, śladu stóp Twoich niegodnym całować.

Stach – Jak zwykle wyglupiasz się. Porozmawiajmy poważnie.

Ja – Świat byłby nudny i ponury, gdyby nie dodał mu odrobiny błazeńdady. Ale ad rem. Jak się czujesz w roli wybitnej osobliwości Konina?

St. – Osobowości, Jasieńku. Zawsze uważałem, że ... tu curriculum vitae Staszka, plus niezliczona ilość pełnionych przez niego funkcji, sukcesów i niezawinionych porażek. Ja na kolana padłem.

Ja – Wróćmy do czasów zamierzchłych. Gdy Ty spoglądałeś na świat z góry, ćwicząc tajniki pilotażu w Szkole Orłąt w Dęblinie, ja podrywałem Twoją przyszłą żonę, świeżo upieczoną polonistkę, śliczną, czarnowłosą Alinę. Zresztą bez

powodzenia. Znałem Cię wtedy jedynie z licznych opowiadań. Poznaliśmy się w Powiatowym Domu Kultury, którego zostałeś kierownikiem.

St. – To była siermiężna działalność, ale dysponowałem zespołem zapaleńców, którzy poświęcali swój czas, nie zadając kłopotliwego pytania „za ile?”. Był duży nacisk na tzw. inicjatywy oddolne. W większych wsiach powstawały placówki kulturalne, Kluby Rolnika, Kluby Książki i Prasy „Ruch”. Jeździliśmy do tych klubów z programami rozrywkowymi, wykonywanymi przez samych pracowników PDK, niosąc przesłanie, że każdy może w swoim środowisku szerzyć jakąś kulturę. Ja sam odtwarzałem pantomimę pt. wędkarz i komary...

Ja – A więc byłeś także aktorem. Pominę okres Twojej pracy w szkolnictwie, choć wiele prominentnych osób Konina i nie tylko, to Twoi byli uczniowie. Porozmawiajmy o perlece na kulturalnej mapie miasta, słynnym ongiś Hutniku.

St. – Dyrektorowałem tej placówce przez wiele lat. Zostawiłem tam sporo serca i bardzo wiele trudu, ale oplaciło się. Powiem nieskromnie, że z powodzeniem konkurowaliśmy z usytuowanym naprzeciwko wielkim Konińskim

Domem Kultury. U nas odbywały się odczyty i spotkania ze znanymi ludźmi, imprezy muzyczne, wystawy konińskich plastyków, działały kółka zainteresowań, laboratorium językowe, bogaty księgozbiór. W kawiarence, takiej z prawdziwego zdarzenia, można było prowadzić godzinne rozmowy. Ten obiekt naprawdę tętnił prawdziwym życiem.

Ja – Wiem. Gdy dzisiaj przecho- dzę obok, łza w oku się kręci. Sztukę zamieniono na sztukamię. Co- raz częściej w kraju obserwujemy takie metamorfozy. Z Klubu odszed- łeś na emeryturę. Co dalej?

St. – Od lat byłem czynnie związany z Towarzystwem Przy- jaciół Konina. Trzeba było uak- tywnić działalność, wyjść na zewnątrz. Wspólnie z nieodża- lowanej pamięci Leszkiem Hej- manem i zespołem piszących za- częliśmy wydawać comiesięczny dodatek do „Przeglądu Koniń- skiego” pn. „Koniniana”. Jak wy- gląda zamawianie i uzgadnianie tekstów, sam wiesz najlepiej.

Ja – Wiem. Dupę mogę ci prze- puścić, ale... (bardzo niecenzuralne słowo w moim artykule), to w żad- nym wypadku!

St. – No widzisz – ktoś musi dbać o literackość języka. Zespół redakcyjny winni tworzyć ludzie

odpowiedzialni za słowa. Swo- ją drogą cieszy mnie, że „Koni- niana” staje się ulubioną lekturą mieszkańców miasta.

Ja – Duża w tym Twoja zasługa. St. – Nie przesadzaj, to zasługa całego zespołu redakcyjnego.

Ja – Ukłon za skromność. Za- pomniałeś dodać, że jedyną zapłatą za Twoje i nasze zaangażowanie re- dakcyjne jest wyłącznie osobista sa- tysfakcja. Wróćmy jeszcze raz do spraw odległych. Pamiętam z ja- kim ukontentowaniem słuchałem gaworzenia Twego małego synka. Przynosiłeś do Domu Kultury taśmy magnetofonowe z nagraniami kilku- letniego brzdąca, snującego własne, wspaniałe baśniowe fantazje.

St. – Radek, mój syn, ma już własne dzieci. Dwie najpiękniejsze na świecie dziewczyny, w których jestem bez pamięci zakochany. Masz rację, powinienem poszpe- rać w rodzinnym archiwum i od- naleźć tamte taśmy sprzed 40 lat.

Ja – Odnaleźć, opracować i wy- dać drukiem. Obiecuję ilustracje do tekstu.

St. – Trzymam za słowo. Ja – A ja kończę „wywiad”. Po- wiem Ci jeszcze tylko, że chyba wiem, na czym polega Twoja wielka popularność. Jesteś po prostu życzy- liwy ludziom.

Siedzę na ganku swojego domu. Ja, stary przyk, próbuję wymyślić rozmowę z drugim starym przykiem i przypomina mi się anegdota, przy- pisywana Marlonowi Brando. Zapy- tany, kogo uważa za najwybitniej- szego aktora, odpowiedział – cóż trudno powiedzieć, jest nas kilku.

Jan Sznajder – dziad, który gał do obrazu

## U „ZAREMBY”

Fabryka maszyn i odlewnia Niemca W. Zaremby przy ul. Dąbrowskiego w Koninie, w pierwszych dniach po wkroczeniu wojsk radzieckich w styczniu 1945 r., przedstawiała oplakany widok. Brama otwarta, powyłamywane drzwi, splądrowane pomieszczenia. Zabrano narzędzia, pozostały tylko ciężkie maszyny, bez pasów transmisyjnych. Wyraźne ślady kwatrowania wojska. Zaśmiecone podwórce. Ślusarnia, kuźnia, pomieszczenia odlewni pełne końskiego nawozu. Taki zobaczyłem obraz, gdy zgłosiłem się do pracy w fabryce „Zaremby”.

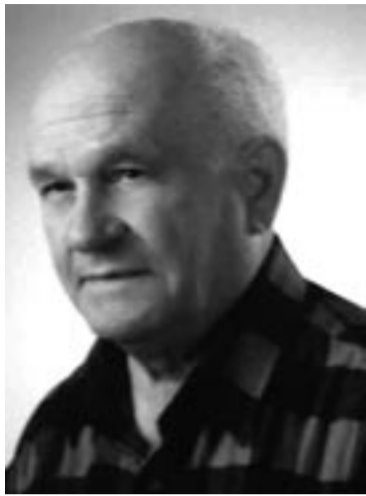
Inicjatorem uruchomienia fabryczki był mistrz Jan Piekarski. Na jego apel zgłosili się dawni pracownicy. Zaczęto od porządkowania. Uzupełniano brakujący sprzęt własnymi narzędziami, zdobytymi lub przyniesionymi z domu.

Warsztat przed wojną i w czasie okupacji obsługiwał przetwórstwo rolnicze w mieście oraz powiecie. Gdy wspólnym wysiłkiem zakład

uzyskał względną moc produkcyjną, już w lutym 45 r. rozpoczął remont tak potrzebnych maszyn rolniczych, dorabiano części, regenerowano zużyte. Podjęto się remontu walców drogowych, lokomobili, pogłębiarek rzecznych, zbiorników itp.

Po roku pracy uruchomiona została odlewnia żeliwa i metali kolorowych (brąz, mosiądz). Przy olbrzymim zapotrzebowaniu na maszyny rolnicze, odlewnia wykonywała części do kieratów i sieczkarni. Co miesiąc, bo tyle trwało przygotowanie form, rozpalano piec hutniczy i w ciągu jednego dnia napełniano, uformowane przez giserów modele płynnym żelivem. Praca w takich dniach była wyjątkowo ciężka. Wszystko odbywało się ręcznie, w wysokiej temperaturze, a tygłe z nosidłami ważyły dwieście kilogramów.

Pamiętam, jeszcze w początkach uruchamiania zakładu, przyszedł do nas dwaj żołnierze radzieccy z prośbą o wotczenie tulei do pojazdu gaśnicowego. Tokarz, Marian Rachwalik,



Autor wspomnień

przystąpił do dzieła. Toczył na tokarce, którą wprawialiśmy w ruch ręcznie (sic!). Inny żołnierz przyniósł rewolwer typu „nagan”, prosząc o przekalibrowanie go na naboje do „pepeszy”. Tłumaczono, że spowoduje to duży rozrzut. Faktycznie, próba strzelania wypadła fatalnie. Niezrażony żołnierz schował broń i z podziękowaniem – charaszo, spasiba – zniknął za zakrętem ulicy.

Oprócz opisanych prac, zakład

brał udział w odbudowie mostu na zalewie Warty. Był to most używany przez wojsko na Zachodzie, tzw. most „Baileya”, który trafił do Konina z demobilu, w ramach pomocy dla krajów zniszczonych. Na zamówienie kierownika budowy inż. Woźniakowskiego, dorabialiśmy brakujące elementy łączące, około 50 sztuk sworzni. Wkrótce przyszedł czas, gdy lokomobile zostały wyparte przez przenośne silniki spalinowe i ciągniki. Ich naprawą zajmowała się załoga fabryki „Reymonda” pod kierunkiem mistrza Konstantego Romanowskiego. „Zarembę” i „Reymonda” połączono w jeden zakład pod nazwą: Techniczna Obsługa Rolnictwa, a później – Państwowy Ośrodek Maszynowy. Zakład prowadził inż. Sokolowski.

U „Zaremby” załogę stanowili: ślusarze – J. Piekarski, J. Woźniak, Głowacki, Marciniak, Zajac i Ziolkowski; tokarze – L. Moliński, W. Gilewski, Rachwalik, E. Nowicki i kowal Jaroński. Spawaczami byli – S. Dobiecki, J. Ulatowski, kotlarz J. Błażejowski; giserzy – A. Dominiak, S. Urbański i M. Michalak. Grupę ówczesnych uczniów stanowili: Józef Dobiecki, Franciszek Moliński, Sta-

niślaw Andrzejewski, Roman Nowicki, Roman Ulatowski, Ryszard Moczyński, Lech Konieczny, Zbigniew Szymczak i robotnik Wincenty Dobiecki.

Młodzi uczniowie kończyli wieczorową szkołę zawodową, nadrabiając sześciolatnie opóźnienie z przedmiotów ogólnokształcących oraz zawodowych, spowodowanych oczywiście okupacją.

Na początku lat 50. zakład „Zaremby” uległ likwidacji. Zabudowania zostały przystosowane dla potrzeb szkoły i warsztatów Zasadniczej Szkoły Metalowej. Nauczycielami zawodu zostali doświadczeni mistrzowie: J. Piekarski oraz M. Rachwalik i E. Nowicki.

Fabryka „Zaremby” odeszła do historii. Przypomnienie wysiłku i zaangażowania ludzi, którzy w tamtych trudnych czasach starali się pomóc miastu, spełnia należne im zadanie.

Opr. Jan Sznajder

PS W przedostatnim odcinku nie podaliśmy, że Stanisław Andrzejewski (II) ojciec zatrudniony był w młynie – autora przepraszamy.



## Artyści Koninowi

W maju, w ramach Dni Konina, w CKiS w Koninie zorganizowano

wystawę „Artyści o Koninie”. Organizatorami wystawy są Prezydent Miasta, Miejska Biblioteka Publiczna w Koninie oraz Centrum Kultury i Sztuki w Koninie.

Wystawa „Artyści o Koninie” mogłaby równie dobrze nosić tytuł „Koninianie inspiracje”. Miasto, niezbyt bogate w zabytkowe obiekty architektoniczne, zdawałoby się, poza Ratuszem i kościołem farnym niemające zbyt wielu miejsc, które mogłyby być obiektem zainteresowania artystów, a jednak... Tropiąc dzieła związane z Koninem, w bardzo krótkim czasie udało się zebrać około 60 prac 16 autorów. Ze względów oczywistych – wielkość sali ekspozycyjnej i nie tylko, nie wszystkie prace zostały pokazane, a i artystów malujących miasto jest zdecydowanie więcej.

Zamierzeniem wystawy było pokazanie różnych „spojrzeń” na miasto. Tworzenie to zawsze przejaw emocji i tak odmienne będą motywy rodowego koninianina, inne „przybysza”, który mieszka tu od lat, ale urodził się w innym mieście, czy wreszcie kogoś, kto był w Koninie tzw. przejazdem.

Wśród nazwisk są artyści, uczestnicy plenerów malarskich w Ślesinie, których obrazy są w galerii Centrum Kultury i Sztuki w Koninie, a także nazwiska nieżyjących już osób, ważnych dla kultury naszego regionu.

Mam nadzieję (powierzono mi rolę komisarza tej wystawy), że interesujące będzie dla oglądających tę ekspozycję porównywanie nie tylko prac, wykonanych w różnych technikach, ale również życiorysów, dramatycznych niekiedy, rzutujących niewątpliwie na późniejszą twórczość, np. Jana Sznajdra (syna) więźnia politycznego, czy Włodzimierza Sznajdra (ojca), dla którego pierwszy kontakt z malarstwem to pra-

ca dekoratora w teatrze, w carskiej Rosji, gdzie ewakuowano go wraz z rodziną. Miał wtedy 11 lat.

W pracach prezentowanych na wystawie nie do końca ważne są wartości artystyczne. Mieczysław Kowalczykiewicz, nieżyjący już malarz, deklaruje: *...w malarstwie ważna jest historyczność... będę upamiętniał historię Konina, tę najdawniejszą i tę niedawną...* W pracowni p. Jana Sznajdra, miejscu z kolekcją świątków niezwyklej urody, „odkryłam” obraz olejny wyżej wspomnianego M. Kowalczykiewicza przedstawiający moment rozstrzelania obywateli Konina przez hitlerowców wkraczających do Polski w 1939 r. To dramatyczne wydarzenie autor obrazu widział z okien domu, w którym mieszkał. Późniejsze prace tego malarza, a także zasłużonego dla regionu konińskiego, również nieżyjącego Ryszarda Michalskiego, to szczególnie zapis przemian zachodzących przez lata w naszym mieście.

Artyści mieszkający w Koninie i przyjezdni, nawet jeżeli w kręgu ich zainteresowań nie do końca jest pejzaż koniński, to jednak nie oparli się klimatowi tego miasta.

Jan Sznajder, malarz, autor publikacji książkowych „popemnił” kilka niewielkich rysunków, a właściwie szkiców, rysowanych delikatną, wrażliwą kreską.

Kolejne prace to grafiki Henryka Drzewieckiego z symbolami nieodparcie kojarzącymi się z regionem, prace Dariusza Kruszyńskiego, studenta II roku uczelni kaliskiej oraz barwne pastele, tym razem miejskie pejzaże Danuty Drzewieckiej.

Józef Szyk, wieloletni plastyk zakładowy „Fugo” i Ela Barszcz, instruktor do spraw plastyki w Centrum Kultury i Sztuki namalowali konińską Starówkę.

Na wystawie prezentowane są także akwarele Kasjana Farbisza, koninianina, który po studiach w PWSSP w Łodzi, zamieszkał w Sieradzu.

Odmienne, ze względu chociażby

na zastosowanie innych pastelów – olejnych, a nie suchych, jak w pracach D. Drzewieckiej są dzieła Mirosława Orzechowskiego z Chorzowa. Wystawa „Konin w pastelach” odbyła się w lutym tego roku w Centrum Kultury i Sztuki w Koninie.

Inspiracje do namalowania obrazów w Koninie znaleźli uczestnicy wspomnianych wcześniej plenerów w Ślesinie: Jan Wołek, związany z Kazimierzem nad Wisłą, Ryszard Rogala, Franciszek Czempik i Dorota Falkowska-Adamiec z Bytomia. Obraz olejny D. Falkowskiej-Adamiec przedstawia nieistniejący już drewniany most i cerkiew prawosławną w starym Koninie.

Wspominałam wcześniej o różnych motywach w podejmowaniu tematów: moje rysunki z cyklu prezentowanego w „Koninianach” były sposobem na zawarcie znajomości z miastem, a fascynacja starymi domami to ciekawość tajemnic, jakie być może kryją.

Włodzimierz Sznajder, pytany o powód utrwalania starych, rozpadających się domów, tłumaczył, że są bogatsze w grę światła i cieni niż np. nowe budynki, a w albumie „Mój Konin” konstatuje *... konińskie domy i ulice pełne są różnych opowieści i każdy z mieszkańców mógłby snuć inną opowieść o swoim mieście...* Rysunki w kolorze nostalgicznej sepii, to zaduma i zgoda na przemijanie *...wszystko mija bezpowrotnie, pozostają tylko wspomnienia...* Powstały pod koniec życia, gdy autor miał 84 lata.

Wspomniany wcześniej Mirosław Orzechowski tak komentuje swoje zauroczenie Koninem:

*... starałem się odnaleźć w nim (Koninie) nie piękne widoki, to pozostawiam twórcom pocztówek, nie ciekawostki, tego niech szukają autorzy przewodników, ale raczej szczególną atmosferę miasta...*

Ocalmy wspomnienia i klimat miasta, szczególnie starego Konina, bo jest tego wart, nie tylko jako inspiracja dla twórców. Szkoda byłoby, aby stare domy, „magiczne” podwórka pozostały tylko na obrazach.

Mirosława Dimitrow



## Na długi spacer... z książkami pod pachą

Mówiąc o książkach wcale nie mam na myśli podręczników traktujących

o sporcie czy rekreacji. Nie sądzę również, by czytanie w czasie spaceru było wygodne i bezpieczne.

Wobec tego, co mają wspólnego książki ze spacerem? W moim przypadku bardzo wiele.

Jestem czytelniczką Miejskiej Biblioteki Publicznej od bardzo dawna. W moim rodzinnym domu zawsze książki były bardzo ważne. Nawet wtedy, gdy chleb tylko głaskało się marmoladą czy smalcem, tato sprawiał nam prezenty w postaci książek. Posiadaliśmy spory księgozbiór, w tym również prawie wszystkie pozycje z długiej listy lektur szkolnych.

Czytaniem „zarazili” nas rodzice jeszcze w dzieciństwie. Tato, uczestnik kampanii wrześniowej w IX Pułku Ułanów, miał swoje książki a wśród nich albumy malarstwa Juliusza i Wojciecha Kossaków, w których były jego zawsze ukochane konie.

Mieszkałam na Starówce w pobliżu dawnej synagogi, siedziby biblioteki. Wprawdzie główny księgozbiór dla dorosłych przeniesiono na ul. Dworcową, ale z moim wnukiem Wojtusiem odwiedzałam czasem filię dla dzieci przy ul. Mickiewicza. Utrudnienie wynikające z przeprowadzki biblioteki na osiedle wcale mnie nie zniechęciło. Jest w bibliotece i książkach jakaś niesamowita i tajemnicza siła, która nawet na od-

ległość przyciąga.

Ta specyficzna atmosfera stworzona przez pracujące w bibliotece Panie zachęca nas do częstych wizyt. Zawsze życzliwie traktowane są moje potrzeby czytelnicze, upodobania literackie. Czasem wydaje mi się, że Panie z wypożyczalni potrafią odczytywać z mojej twarzy aktualny stan ducha. To dziwne, ale zawsze wiedzą kiedy i jaką książkę podsunąć, by sprawić mi radość. Niekiedy dodają krótką recenzję lub hasło: „mroczna”, „filozoficzna”... i wszystko rozumiem. Zapoznają z nowościami literackimi, wypytują o wrażenia po przeczytaniu książki.

Żeby znaleźć się w bibliotece, muszę dojechać autobusem albo... wybrać się na półgodzinny spacer. A warto, bo tu czuję się jak w zaczarowanym świecie. Zapominam o różnych problemach, zmęczeniu, starości. Między regałami widzę tylko ludzi, podobnie jak ja, uzależnionych od czytania. Uzależnionych, ale szczęśliwych. Biorę ze sobą często Wojtusia, który pomaga mi poszukać tę najciekawszą książkę i... z „drukowanym skarbem” pod pachą zadowoleni wracamy spacerkiem do domu.

Przekonałam się, że książki posiadają nie tylko walory intelektualne, ale również poprawiają kondycję fizyczną. Po takim spacerku ja i mój wnuczek czujemy się doskonale.

Póki co, moje nogi zgodnie współpracują z jeszcze dość sprawnie funkcjonującą głową.

Oby tak dalej.

Maria Cieślak



...a most rośnie



## Czas kwitnących wiśni

Zjawiają się bezszelestnie w naszej codzienności. Białe, delikatne, z uśmiechem wiosny, z modlitwą pszczół. A może to Anioły sfruwają na ziemię, aby pocieszyć zmęczonych ludzi? Patrząc uważnie w nasze serca, pytają: czy potrafimy kochać i wybaczać? W tym spojrzeniu nie ma surowości ani gniewu. Jest zrozumienie. Tak patrzysz, którzy są posłani od Boga...

Kwitnące wiśnie uczą się od słońca radości, od księżycy szeptu. Czego mogą nauczyć się od człowieka słuchając jego zwierzeń – niezwykłych opowieści losu? Może tego, że człowiek szuka czegoś, co nazywa szczęściem, nie wiedząc do końca, czym naprawdę ono jest? A może cierpienia, które powoduje, że człowiek nie zaprzestaje poszukiwań?

Pisarz Nino Salvaneshi napisał: *Ból jest wielką tajemnicą jak miłość. Miłość jest tęsknotą za niebem, ból*

*zaś – wyzwoleniem z ziemi, dlatego w każdym bólu jest trochę nieba i w każdej miłości pozostaje skrawek ziemi. Miłość i ból stanowią inicjację do naszego losu, ułatwiają przezwyciężenie własnego ja, poszerzenie się naszej świadomości, wkroczenie w nieskończoność... Cóż można do tego dodać? Każdy ból ma swój początek i koniec, swoje „terytorium trwania”. Każda radość ma podwójną, a nawet potrójną moc działania. Każde doświadczenie jest nauką.*

Kwitnące gałęzie wiśni każdego roku ozdabiają konińską ziemię. Gdy tak pochylają się ku człowiekowi, przypominają mi się indyjskie powitanie. W Indiach bowiem pozdrawiając kogoś składa się dłonie i pochyla głowę mówiąc przy tym: –*Namaste*. Słowo to oznacza w sanskrycie: *Chylę czoło przed Bogiem, który mieszka w tobie* lub krócej: *Klaniam się Światłu w tobie*. Ten piękny zwyczaj jest wyrazem najwyższej czci i szacunku człowieka wobec człowieka.

Kwiaty wiśni na tle błękitu, to

jakby rozkołysane żagle na Oceanie Wieczności. Zatrzymują rozbiegane



myśli, uciszają wołanie duszy. Zawsze ze wzruszeniem patrzę na ten

caud białych narodzin. Dotykam kwiatów, zanurzam twarz w ich nieziemską łagodność. Czuję krople rosy na twarzy. A może to moje własne łzy? Gdzieś w pamięci wirują przeczytane kiedyś słowa: *Gdy Dusza jest wol-*

*Ziemi Obiecanej duchowego spokoju... Delikatne płatki kwiatów wydobywają ze szkatułki pamięci kolejne zapamiętane słowa: Tylko po to możemy znaleźć się na pustkowiu, aby się przekonać, że tam gdzie jesteśmy jest Bóg, że miejsce na którym stoimy jest ziemią świętą. On się nigdy nie zgubił i nie zgubił mnie. Jego Głos poprowadzi mnie i ciebie w kierunku, w którym powinniśmy iść...*

Czas kwitnących wiśni jest zbyt krótki, aby uwierzyć w obecność Aniołów. Ale trzeba wierzyć w ten czas i w przesłanie wiosny, które brzmi: Najdroższe jest nasze życie! To nic, że nieraz zapominamy je w pełni przeżywać, że błądzimy po koleinach i bezdrożach przeszłości. Przychodzi moment, że odnajdujemy swój Talizman Szczęścia i już wiemy, co z rzeczy ważnych jest dla nas najważniejsze.

Cudownie kwitnące wiśnie. Śnieżnobiałe marzenie, spełniony sen drzewa, niepowtarzalna pieśń życia. Biel – to wyjątkowy kolor. Piękniejsze od niego może być tylko Światło...

Danuta Olczak



## Zapomniane tajemnice ratusza (II)

Po gruntownym remoncie przeprowadzonym w latach 1829-1830 koniński ratusz uzyskał ostateczny kształt budowli, który w ogólnym założeniu przetrwał do naszych czasów. Niemniej jednak wiele elementów i detali architektonicznych zewnętrznej bryły, jak też wewnętrznej rozplanowania, uległo w następnych dziesięcioleciach zmianom.

Przede wszystkim znikły tzw. wozownie, które przylegały do północnej ściany piętrowego budynku i odgradzały ratusz od jatek miejskich. Był to rodzaj parterowej przybudówki, rozciągającej się pomiędzy obecną ulicą 3 Maja i ulicą Wiosny Ludów, której ściany od strony tychże ulic stanowiły naturalne przedłużenie właściwego gmachu ratusza.

Inaczej wyglądał sam fronton budynku, gdyż pomiędzy środkowymi kolumnami znajdowały się drzwi wejściowe. Miał bowiem dawniej ratusz dwa wejścia, z których zachowało się jedynie to od strony ulicy Wiosny Ludów.

Nawet w skali ówczesnego Konina nie był ratusz budowlą monumentalną i nie górował nad pozostałą zabudową miejską. Przede wszystkim nie wzniesiono tak charakterystycznej dla tego typu budynków wysokiej, murywanej wieży. Wiele wskazuje na to, że bynajmniej nie wynikało to z przyczyn ograniczeń finansowych, czy też braku inwencji architekta. Bezpośrednią przyczyną były raczej warunki naturalne, które przez stulecia kształtowały rozwój architektoniczny miasta.

Podmokły i niestabilny grunt w dolinie rzeki powodował, że w dawnym Koninie istniały niezwykle trudne warunki zabudowy. Jeszcze w 1883 r. na ogólną liczbę 338 domów mieszkalnych, aż 162 stanowi-

ły budynki drewniane. Domy drewniane stawiano często nie z przyczyn ekonomicznych, ale z powodu „*mało zdatnego do budowy gruntu*”. Przy ówczesnych rozwiązaniach technicznych tylko w niektórych miejscach dawało się wzniesić murowany budynek, a tym bardziej o więcej niż jednym piętrze. W konsekwencji władze wyrażały zgodę na budowę drewnianych domów, chociaż formalnie przepisy tzw. policji budowlanej już od lat dwudziestych XIX w. zabraniały wznoszenia tego typu budowli w miastach powiatowych. Zresztą być może, to właśnie za sprawą właściwości gruntu, zaledwie po ćwierć wieku od czasu wzniesienia budynek ratusza wymagał praktycznie odbudowy.

W każdym razie, gdy ratusz wyremontowano, w głowie ówczesnego burmistrza zrodził się pomysł na podkreślenie rangi budynku ratusza. W roku 1832 pisał do Komisarza Wojewódzkiego Obwodu Konińskiego (...) *Wszystkie miasta pryncypalniejsze, a nawet partykularne w tutejszym obwodzie są przyozdobione zegarami wieżowymi, zaś miasto Konin, które we wszystkim mieć winno pierwszeństwo jako obwodowe jest w tym względzie najmniej udekorowane, przeto burmistrz mając na względzie wygodę publiczną ma honor przedstawić ... aby rozpocząć korespondencję z rządem o nabycie zegara dla miasta Konina bez użytku w klasztorze we wsi Łąd znajdującego się, a przez nieutrzymanie go w porządku ulec mogącemu zupełnemu zniszczeniu bez korzyści. Gdy się Rząd przychyli do tego przedstawienia i zegar pomieniony odprzeda dla miasta tutejszego, może być najdogodniej umieszczony na wieży ratusza miejskiego...*

Pomysł bardzo spodobał się ówczesnemu Komisarzowi Wojewódzkiemu Obwodu Konińskiego, Józefowi Bronikowskiemu, który nie-

zwłocznie polecił przenieść w roku 1833 zegar z Łądu do miasta. Prace przy jego zmontowaniu i remoncie mieli wykonać konińscy rzemieślnicy: zegarmistrz Teodor Gołębiowski wraz ze ślusarzem Augustem Rederem. Tenże zegarmistrz został również na długie lata dozorcą zegara, do którego obowiązków należało (...) *naciąganie i dozorowanie zegara...*

W ten sposób koniński ratusz zwieńczyła drewniana wieża z zegarem, a cała budowla nabrała znacznie bardziej dostojnego wyglądu. Wkrótce jednak okazało się, że upragniony zegar stał się źródłem kłopotów, by nie powiedzieć skandalu. Został bowiem zabrany z dawnego klasztoru Cystersów w Łądzie, który formalnie skasowano już w 1819 r., a zarząd jego majątkiem znalazł się w gestii władz administracyjnych. Niemniej jednak nie zapadły jeszcze ostateczne decyzje, co do dalszego przeznaczenia zabudowań dawnego klasztoru. W tej sytuacji skargę na decyzję Komisarza Obwodu złożyły władze kościelne w osobie ks. biskupa, który pisał do Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych, że zegar ten byłby w Łądzie potrzebny, gdyż projektuje się tam urządzić Instytut dla Księżki Emerytów, a ponadto doszło do za wyżnienia kosztów, gdyż taniej byłoby kupić nowy.

W konsekwencji podjęto swoiste postępowanie wyjaśniające, które potwierdziło fakt, iż Komisarz Bronikowski dopuścił się pewnej samowoli, gdyż podjął decyzję bez akceptacji władz zwierzchnich. Niemniej jednak samej decyzji nie uchylono i nakazano likwidację kosztów zegara. Za przejęty zegar miasto musiało tym samym wpłacić ponad 781 zł na tzw. fundusz religijny. W ostatecznym rozrachunku nabycie klasztornego zegara okazało się dla miasta nader kiepskim interesem. Według szacunków tychże władz zwierzchnich znajdujący się w ruinie zegar nie był bowiem

wart w rzeczywistości więcej aniżeli 300 zł. Całe przedsięwzięcie związane z zegarem kosztowało kasę miejską ponad 2382 zł. Z tego, oprócz powyższej sumy 781 zł, na remont zegara wydano jeszcze 1044 zł. Resztę kwoty stanowiły koszty pobudowania wieży, transportu oraz zamontowania mechanizmów.

Co więcej nie był to koniec problemów, gdyż sprawa zegara wróciła raz jeszcze po kilkunastu latach. W międzyczasie bowiem (w 1850 r.) dawny klasztor Cystersów w Łądzie otrzymali oo. kapucyni i w 1852 r. ks. Benjamin, Komisarz Generalski Klasztorów x.x. Kapucynów, wystąpił do Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych Królestwa Polskiego ...o *zwrot zegara żelaznego zabranego ...i zamontowanego na Ratuszu w Koninie*.

Formalne podstawy roszczeń były raczej wątpliwe, ale o. Beniamin Szymański cieszył się dużymi wpływami u Namiestnika Królestwa, osławionego pogromcy powstania listopadowego, feldmarszałka Iwana Paskiewicza. Dzięki temu zresztą w dużej mierze oo. kapucyni otrzymali tenże klasztor, któremu Paskiewicz okazał duże zainteresowanie, a nawet wyposażył go w mienie zrabowane w innych kościołach.

Jak się wyjawia, sprawa ewentualnego zwrotu zegara utknęła w trybach biurokracji, tym bardziej że w 1856 r. umarł sam Paskiewicz. Wraz z wybuchem powstania styczniowego sprawa kontrowersyjnego zegara przestała mieć jakiegokolwiek praktyczne znaczenie. W 1864 r. na konińskich błoniach powieszony zostaje powstańczy kapelan i zakonnik z Łądu, o. Maksymilian Tarejwo, i w tym samym roku kapucynów wygnano z klasztoru. Z wyjątkiem samego kościoła i kilku pokoi w klasztorze reszta zabudowań znalazła się ponownie w gestii władz administracyjnych.

Piotr Rybczyński

Debiut Poetycki  
Barbary Dąbek-Nowak

*Dzieciństwo*

*Dzieciństwo, to Ty  
Mamusiu.  
To Twoje oczy i ręce,  
To Twój uśmiech na twarzy  
i serce.  
Lubiłaś kwiaty w ogrodzie.  
Rozmowy o najnowszej  
modzie  
I córki stroić w sukienki  
Z tkaniny jak jedwab  
miękkiej.*

*Lubiłaś spacerować po sadzie  
I głowę mieć pełną  
marzeń.  
Kochałaś taniec i śpiew,  
Lecz przede wszystkim  
Nasz śmiech.*

*Dalabyś nam księżyc  
i słońce.  
Rosę na trawie i kwiaty  
na łące.  
Całą ziemię, wieczność  
całą  
Rzuciłabyś nam pod nogi,  
Gdyby pozwoliły Bogi.*

Wierszyk wydrukowaliśmy z okazji przypadającego w maju Dnia Matki. Resztę twórczości radzimy przesłać na konkurs poetycki o statuetkę Milowego Słupa. Właśnie przypominamy Regulamin konkursu.



## Parlamentarzyści Ziemi Konińskiej okresu II Rzeczypospolitej

Powtarzając się co jakiś czas wybory prezydenckie, parlamentarne, samorządowe są niewątpliwie dla wszystkich sprawdzianem patriotyzmu, społecznego zaangażowania, wymiarem postawy obywatelskiej, a także i szczególną nauką kultury politycznej. Myślę, że wchodząc aktywnie w życie polityczne należałoby też mieć w świadomości choćby podstawowe elementy historycznej wiedzy, zwłaszcza regionalnej. Stąd dzisiaj, sprowadzony wyłącznie do wymiaru czysto faktograficznego i informacyjnego, drobny tekst przybliżający posłów i senatorów Ziemi Konińskiej z okresu II Rzeczypospolitej.

Sześciokrotnie w międzywojniu wybierali obywatele II Rzeczypospolitej swoje władze parlamentarne. W latach 1919-1930 wybrano łącznie 15 posłów reprezentujących szeroko rozumianą Ziemię Konińską. Jedynie dla przykładu wymienimy kilka osób: proboszcz koniński ks. Stanisław Dziennicki, w okresie I wojny światowej założyciel Polskiego Zjednoczenia Ludowego w Koninie;

Wawrzyniec Sielski – ziemianin z Wyszyny, założyciel w 1919 r. w Koninie komórki Związku Ludowo-Narodowego, zasiadający w Sejmiku Powiatowym i Wydziale Powiatowym, zginął tragicznie w czasie rozruchów w Wyszynie w 1936 r.; Aleksander Dzierżawski – związany z Turkiem, od 1920 r. przez kilka miesięcy tamtejszy starosta powiatowy, sympatyzujący politycznie ze ZLN; Wincenty Kacprzak – chłop z Grąblina, zasiadający w Sejmie z ramienia PSL „Wyzwolenie”; Stanisław Majewski – pochodzący z Grzegorzewa, dziennikarz związany z ruchem narodowym, współtwórca sieci prasowej „ABC”, redaktor naczelny „Wieczoru Warszawskiego” i „Gońca Warszawskiego”; Bronisław Mikołajewski – działacz Polskiej Partii Socjalistycznej w Koninie; Franciszek Tylman – urodzony w Ostrowitem, wybrany w 1919 r. z ramienia Polskiego Zjednoczenia Ludowego; Julian Will – urodzony w Sompólnie, nauczyciel, w latach 1928-1930 zasiadał w Sejmie z listy mniejszości niemieckiej, publicysta prasy nie-

mieckojęzycznej; Ignacy Imilkowski z miejscowości Blizna Wieś w powiecie kolskim; Bolesław Łażewski; Leonard Mrożewski – związany z Władysławowem; Ignacy Mularak – urodzony w Pęczniewie w powiecie tureckim; Stefan Rutkowski – urodzony w Jeziorsku, Wincenty Szymczak – związany z Kolem; Józef Walisiak – urodzony w Dominikowicach w powiecie tureckim.

W wyborach 1935 i 1938 r., w myśl konstytucji kwietniowej z 1935 r., ograniczono liczbę posłów z 444 do 208 i senatorów ze 111 do 96. W związku z tym zmniejszyły się zasięgi terytorialne okręgów wyborczych, jak również liczba mandatów poselskich i senatorskich przypadająca poszczególnym regionom.

Warto zaznaczyć, iż z 6 posłów, którzy w 1935 bądź 1938 r. zostali wybrani z konińskiego i kaliskiego okręgu wyborczego, tylko 3 urodziło się na Ziemi Konińskiej: Wincenty Grętkiewicz – odbył częściowo studia prawnicze w Poznaniu i Warszawie, związany z ruchem powoiackim, brał udział w wojnie bolszewickiej

1920 r., w latach 1934-1939 piastował urząd burmistrza m. Konina. Zasiadał we władzach Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, a następnie stanął na czele konińskiej komórki Obozu Zjednoczenia Narodowego.

Inny parlamentarzysta – Franciszek Tylman (poseł już we wcześniejszych kadencjach), posiadał wykształcenie rolnicze, organizował Straż Pożarną, był ławnikiem Sądu Pokoju w Kleczewie i sędzią Sądu Okręgowego w Kaliszu. Udzielał się też w spółdzielczości i kółkach rolniczych.

Leopold Zieleśkiewicz – dwa lata studiował na Wydziale Rolno-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego, następnie od 1926 r. przebywał przez jakiś czas w Belgii, gdzie kontynuował naukę w Państwowym Instytucie Ekonomicznym w Gembloux.

W zakończeniu należy nadmienić jeszcze o przedstawicielu Ziemi Konińskiej w Senacie; był nim Ludomił Pułaski, w latach 1922-1927 z listy ZLN. Urodził się w Warszawie, po studiach agronomicznych

osiadł w majątku ziemskim w Grzymiszewie. W Polsce niepodległej organizował struktury administracji na terenie powiatu konińsko-słupeckiego. Był pierwszym starostą tegoż powiatu, następnie członkiem Sejmiku i Wydziału Powiatowego w Koninie, po utworzeniu osobnych powiatów w Koninie i Słupcy. Prezesował Towarzystwu Rolniczemu w Kaliszu. Zakładał szkoły rolnicze, m.in. w Liszkowie i Popowie. W 1920 r. stanął na czele Komitetu Obrony Państwa na okręg Konin-Słupca.

Postscriptum: Bliżej zainteresowanych tematem odsyłam do dwuczęściowego artykułu prof. Zygmunta Kaczmarska, „Parlamentarzyści Ziemi Konińskiej”, ogłoszonego w dwu kolejnych numerach „Rocznika Konińskiego”, w 1998 i 1999 r. Ziemia Konińska w tym opracowaniu została ujęta umownie, jako obszar obejmujący cztery powiaty, wchodzące na początek istnienia II Rzeczypospolitej w skład dwóch okręgów wyborczych: powiaty koniński, kolski i słupecki przynależały do okręgu wyborczego w Koninie, natomiast powiat turecki przypisano okręgowi wyborczemu w Kaliszu. W wyborach do Senatu całe województwo łódzkie (w skład którego do 1938 r. wchodził powiat koniński) odpowiadało jednemu okręgowi wyborczemu.

Janusz Gulczyński



## O Zofii Urbanowskiej jeszcze słów kilka...

Jeden z moich znajomych przeglądając numer 5(14) miesięcznika „Koniniana” z kontenansem w głosie rzekł: No... teraz to o Urbanowskiej napisano już wszystko... Wówczas gotów byłbym przychylić się do jego opinii. Wówczas tak... obecnie nie. Powodem weryfikacji moich poglądów stał się list nadesłany przez pana Z. Jachimskiego na adres miesięcznika „Koniniana”. List przyszedł – jak przystało na dwudziesty pierwszy wiek – pocztą elektroniczną. Nowoczesność przekazu w żaden sposób nie zakłóciła znajomości sztuki epistolarnej posiadanej przez nadawcę. Autor, przytaczając okoliczności, opowiada o swoim spotkaniu z powieścią Zofii Urbanowskiej pt.: „Wszechmocni”, w końcowej części listu konkluduje „...Powieść dość wiernie odtwarza wydarzenia z przełomu XIX i XX w. w społeczności miasta...”. Z racji swojej dociekliwości, uważniej(?) zacząłem przeglądać biografie naszej rodzimej autorki. Porównując fakty podawane przez autorów życiorysu Zofii Urbanowskiej, czy to w formie książkowej, gazetowej, czy też internetowej, zauważyłem wśród nich wiele sprzeczności. Na przykład jeden przypisuje datę wydania powieści „Wszechmocni” w rok 1893, drugi na rok 1908. Skąd ta rozbieżność? Okazuje się, że obydwaj mają rację – z tym, że ten drugi zapomniiał dopisać wydanie czwarte. Na stronie internetowej „Onet.pl” o „naszej” pisarce znalazłem następującą informację. „...polski prozaik, publicystka.

Od 1873 pracowała w redakcji Gazety Polskiej w Warszawie. W 1910 zamieszkała w Koninie...”. Jak koninianom wiadomo, Zofia Urbanowska w 1910 powróciła!!! na stałe do Konina, z którego wyjechała do Warszawy po 1870 roku. Również co do daty jej powrotu panują rozbieżności, jedni wymieniają rok 1910, inni 1913. Chciałbym, by ktoś pokusił się o napisanie pełnej biografii Zofii Urbanowskiej w formie, podobnej do tej z książki Anny Dragan pt. „Pod końskim kopytem”. W rozdziale pt.: „Księżniczka w czerni” autorka opisując niestety!!! tylko fragmenty z życia twórczyni „Gucia zaczarowanego” udowodniła, że czytając biografie da się czytać niczym poezję. Dzięki wertowaniu zapisków, myszkowaniu w antykwariatach, kontaktowaniu się z biblioteką Uniwersytetu Łódzkiego (stamtąd w 1952 roku autor listu otrzymał książkę) szukając śladów „zagubionej powieści” zapoznałem się z dotychczas nieznanymi – przynajmniej dla mnie – epizodami z życia Zofii Urbanowskiej. Stało się tak dzięki spisany wypowiedziom osób posiadających bardzo „odległe” związki z Koninem. Z publikacji Lidii Długołęckiej i Macieja Pinkarta pt. „Muzyka i Tatry” dowiedziałem się, że: „...Swe zbiory przekazała mu (Oskarowi Kolbergowi – dopisek mój) także autorka jednej z piękniejszych powieści tatrzańskich Róży bez kołców – Zofia Urbanowska. Przed 1885 r. zebrała ona w Zakopanem i okolicy 74 pieśni, zasłyszanych od służących-góralek...”. Ku mojej, a zapewne i koninian radości o pisarce

pamiętają również wielbiciele jej talentu za granicą. Jedną z rosyjskich stron internetowych, do roku 2004 przypisała następującą informację: „...65 лет назад умерла Софья УРБАНОВСКАЯ [Zofia URBANOWSKA] (1849-1939), польская писательница, автор повестей „Атланта”, „Зачарованный Гутя”, сказки „Золотой перстень!...”

Wniosek nasuwa się jeden: Biografowie, historycy do piór... o Zofii Urbanowskiej można bez końca.

Włodzimierz Kowalczykiewicz



Ten most stanie nad rzeką w opisaną w wierszu obok

Ryszard Grundman

Rzeka wspomnień

Błękitna mgielka jak oczy mgłą zachodzące przesłaniała widok rodzinnego miasta Konina

Doliną łąk, w srebrze rosy rozrzuconej w miliardach kropel falistą wstęgą toczy swe wody Warta...

W błyszczącym lustrze fal rzucają swe chłodne odbicia nadbrzeżne olchy, wierzby i wikliny

Strącając brylanty rosy szedłem brzegiem znajomym tchnącym spokojem i ciszą śladem harcerskich wędrówek głęboko kiedyś przeżytych nigdy nie zapomnianych nad Wartą, moją rzeką...

Zapatrzony w toń wody słyszałem tajemniczy głos coś opowiadała, coś przypominała aż ogarnął mnie żal

W zadumie nie wolnej od smutku poniosłem w pamięci głos rzeki jej urok dawniej poznany jak najcenniejszy fragment miłosego listu na nowo czytany

Nad Wartą dziś cicho i Konin stary uśpiony a tylko jak echo powracały wspomnienia...

# KONINIANA

www.koniniana.netstrefa.com.pl

zdjęcia portretowe: RAD

ADRES REDAKCJI:  
62-510 Konin, ul. Przemysłowa 9,  
tel. 063 243 77 00, 243 77 03  
Redaguje zespół  
Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Konina  
ISSN 0138-0893